

KS. PIOTR GLAS

**DZISIAJ
TRZEBA
WYBRAĆ**

**O POTĘDZE MARYI,
WALCE DUCHOWEJ
I CZASACH OSTATECZNYCH**

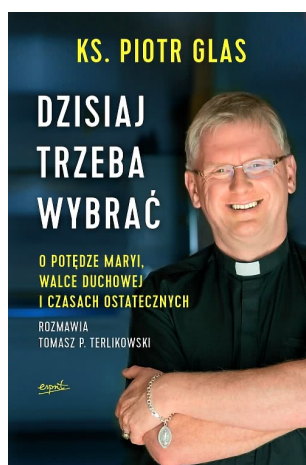
ROZMAWIA
TOMASZ P. TERLIKOWSKI

esprit

Ks. Piotr Glas

[Dzisiaj trzeba wybrać](#)

Izajasz.pl



Idąc za Maryją, nie zboczysz z drogi.
Modląc się do Niej, nie stracisz nadziei.
Myśląc o Niej, nie pomylisz się.
Jej się trzymając, nie zginiesz.
Kiedy Ona cię strzeże, nie trwożysz się.
Gdy cię prowadzić będzie, nie zmęczysz się.
Kiedy Ona łaskawa ci będzie, dotrzesz do celu.

Modlitwa św. Bernarda z Clairvaux

Ta książka jest bardzo ważna dla każdego – księdza, męża, żony, młodego człowieka, tego, kto jest blisko Boga, i tego, kto nic o Nim nie wie. Ksiądz Piotr Glas to szczególny komandos Maryi, zaprawiony w walce duchowej, świadomy czasów, w których Kościół staje do ostatecznej walki z szatanem o dusze ludzkie. Podejmuje najważniejsze tematy życia duchowego bez ściemy, udawania, głaskania i ogólników, tak żeby się nikomu nie narazić. Znajdziesz w tej książce treści, które mogą wywrócić życie do góry nogami, zburzyć dotychczasowe rozumienie Boga, Maryi, szatana, Kościoła, kapłanów i walki duchowej. Może z niektórymi poglądami autora nie od razu się zgodzisz, może będziesz musiał wejść w metanoję, do której zachęca Jezus w Ewangelii, czyli nawrócić się przede wszystkim przez zmianę dotychczasowego myślenia. W każdym razie gwarantuję ci, że nie będziesz mógł zostać już nigdy obojętny wobec treści, które przeczytasz. Ksiądz Glas zabierze cię w fascynujące, w niektórych momentach nawet zabawne i pełne zaskakujących wydarzeń świadectwo swojego kapłańskiego życia. Poznaj komandosa Maryi, weterana duchowej walki, kogoś, kto zgłębił tajemnice niewidzialnego świata i pierwszy raz tak wyczerpująco chce się nimi z tobą podzielić.

ks. Dominik Chmielewski SDB,
duszpasterz akademicki i rekolekcjonista

Nie ma wątpliwości, że w Kościele w Polsce coś się dzieje. Świeccy katolicy organizują wielką akcję modlitewną, która ma być zadośćuczynieniem za grzechy aborcji i komunizmu i przybywa na nią, na Jasną Górę, niemal dwieście tysięcy osób, by modlić się, uczestniczyć w Mszy Świętej, a na koniec wziąć udział w wielkiej modlitwie o uwolnienie dla Polski i Polaków. W wielu kościołach, halach sportowych, na wielu stadionach odbywają się gigantyczne spotkania młodych (i starszych też) ludzi, którzy modlą się o wylanie Ducha Świętego, uzdrowienie, a także uwolnienie dla siebie i innych. W coraz większej liczbie domów coś się zmienia, a codzienna modlitwa nabiera nowej mocy. Mnożą się też wspólnoty charyzmatyczne, a kolejni kapłani odkrywają moc Chrystusowego kapłaństwa i posługiwania charyzmatami Ducha Świętego. I wreszcie coraz więcej jest egzorcystów, którzy uwalniają ludzi od zniewoleń i opętań, a także otwarcie mówią o działaniu złych duchów. Dla jednych jest to dowód na szczególne wylanie Ducha w Polsce w ostatnich latach, na szczególną rolę, jaką Polska ma mieć do odegrania w przyszłości, dla innych – bardziej krytycznie do zjawiska nastawionych – to raczej element pentekostalizacji i w mniejszym stopniu protestantyzacji katolicyzmu,

odejścia od racjonalnych i rozumowych podstaw wiary i zastąpienia ich... emocjami, charyzmatami i przeżyciami. I jedni, i drudzy muszą się jednak zgodzić co do tego, że coś się w naszym kraju dzieje, że nasza religijność, pobożność, wiara nabierają w ostatnich latach nowego smaku, nowego charakteru.

Ksiądz Piotr Glas jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych, najbardziej znanych symboli tego zjawiska. Jedni uważają go więc za „oszałałego charyzmatyka”, który „wszędzie widzi demony” i straszy nimi, dla innych jest zaś nauczycielem dojrzałej wiary. Jedni potępiają go, bo za dużo wymaga, inni uważają, że opiera się na emocjach. Ksiądz Glas zaś – i to jest w nim niezwykle – wciąż wymyka się jasnym podziałom na charyzmatyków i ich przeciwników. Gdy bowiem trzeba, ostro i jednoznacznie krytykuje te zjawiska w ruchach charyzmatycznych czy w ogólnopolskim wylaniu Ducha Świętego, które uważa za niebezpieczne duchowo, zwodzące na manowce wiary, za mało katolickieczy wreszcie płytkie i niewprowadzające wiernych i kapłanów na głębię. Wbrew temu, co się bowiem w pewnych środowiskach powtarza, wiara ks. Glasa wcale nie opiera się na emocjach, ale jest pogłębioną refleksją nad doświadczeniami własnego życia, nad lekturami, i wreszcie nad nieustanną walką duchową, jaka się wokół nas toczy. Jest ten rosły (oj, tak) kapłan wiecznym wojownikiem, który ma świadomość, że przeżycia i emocje są ważne, lecz nie na nich, ale na nieustannej walce, buduje się prawdziwą i mocną wiarę. Duchowe zabawy mogą być sympatyczne, ale nie zastąpią dojrzałego spotkania z Bogiem.

I pewnie tak otwarte mówienie o potrzebie walki, o wiecznym nawracaniu się, a także o działaniu złego ducha tak wielu w ks. Glasie irytuje. On nie udaje, że chrześcijaństwo jest proste, miłe i przyjemne, on nie proponuje jakiejś Ewangelii w wersji *light*, ale otwarcie mówi, dokąd może zaprowadzić nas grzech, jak działa szatan i co może nam zrobić, jeśli nie zachowamy wierności Bożym przykazaniom i samemu Bogu. A opowiada to nie dlatego, że gdzieś to wyczytał, ale dlatego, że sam się z tym wszystkim zetknął w swojej pracy egzorcysty, a także rekolekcjonisty i kierownika duchowego. On, jak sam mówi, nie musi już wierzyć w istnienie szatana, bo go spotkał. Ale nie oznacza to, że koncentruje się tylko na złu, bowiem sam doświadczył również wielkiej mocy Eucharystii, Krzyża, Matki Bożej czy świętych. Katolickie prawdy wiary nie są dla niego już tylko teorią, ale praktyką życia duchowego i codziennego. Praktyką, którą chce się dzielić i o której chce opowiadać innym. Jeśli coś zaś go boli, to tylko to, że tak wielu (kapłanów, zakonników i siostr zakonnych, ale także świeckich) nie chce w nie wierzyć, że traktuje je jak bajki dla niegrzecznych dzieci, jak legendy rodem ze średniowiecza. On sam tak zrobić nie może, bo gdy spotkało się diabła i pokonało go mocą Chrystusa, nie jest już możliwe udawanie, że tej rzeczywistości nie ma, że ona nie istnieje. A nie wolno o tej prawdzie milczeć, bo tak wielu ludzi potrzebuje pomocy, wsparcia, oczyszczenia, modlitwy. I tak niewielu jest tych, którzy chcą ową pomoc nieść. Słowa o potrzebie kolejnych pracowników w winnicy, kolejnych kapłanów, którzy pójdą na wojnę ze światem i szatanem, nieustannie w czasie naszej rozmowy wracały. Tak jak nieustannie powracał temat ludzi, także kapłanów i siostr zakonnych, którzy potrzebują pomocy, i żal, że nie ma im kto jej udzielić...

Nie zawsze jednak tak było. Ksiądz Piotr Glas nie ukrywa, że on sam także potrzebował nawrócenia, duchowej przemiany, odkrycia mocy Bożej. A przyszła ona do niego po wielu latach kapłaństwa. Teraz stara się więc potrzebę tej przemiany, a także sposoby jej doświadczania przekazać innym, tak by wielkie duchowe przebudzenie szło w Polskę, by kolejni kapłani odkrywali moc Chrystusowego kapłaństwa, piękno oddania się w duchową niewolę Matce Bożej i bogactwo posługiwania modlitwą. I nie chodzi tu o jakieś szczególnie charyzmatyczne przeżycia lub zaangażowanie, ale o powrót do prostej wiary katolickiej, w której są i egzorcyzmy, i modlitwa wstawiennicza, a przede wszystkim jest Eucharystia, maryjność i Różaniec! Każdy może sam wyruszyć w tę drogę. Jeśli tylko chce. Ja mogę tylko zapewnić, że warto, bo warto być księdzem z pasją, kapłanem z misją, człowiekiem zaangażowanym. Takim jest, co do tego nie mam wątpliwości, ks. Glas.

Ale ten wywiad to nie tylko opowieść o życiu, nawróceniu i posłudze jednego księdza, to także niewielki przewodnik po walce duchowej, ostrzeżenie przed zbliżającym się przełomem duchowym, a także ciekawa analiza sytuacji w Kościele, zarówno polskim, jak i powszechnym. O pewnych kwestiach bohater tego wywiadu mówi o wiele ostrzej niż księża pracujący w Polsce, o innych mówi jako jedyny. Dlaczego? Pewnie dlatego, że z zewnątrz widać więcej, a do tego nie każdy służy i chce służyć Matce Bożej. Ksiądz Glas chce i dlatego powstała ta książka.

Tomasz P. Terlikowski
Warszawa, 14 września 2017,
Święto Podwyższenia Krzyża Świętego

ROZDZIAŁ 1 NARODZINY WOJOWNIKA

Czuje się Ksiądz wojownikiem?

Coraz bardziej czuję się wojownikiem. Jestem co prawda zrzeszony w pewnej drużynie, ale na walkę wyruszam samotnie. Czasami czuję się jak rycerz, który idzie przez pustynię i wie, że ma do spełnienia misję. Wie także, że nie jest to misja wymyślona przez niego, ale zadanie powierzone przez Pana Boga. W tym obrazie od kilkunastu lat coraz bardziej odnajduję siebie. Samotny wilk, który nie ma łatwego życia. Nie ja jedyny zresztą. To cecha tych wszystkich, którzy chcą coś jeszcze zrobić, a nie tylko być przeciętniakami, bo przeciętność zabija ducha walki.

Samotny wilk, ale jednak w jakiejś drużynie?

Ostatnio pewna bardzo bliska Bogu kobieta napisała do mnie, że Pan Bóg powołuje „komandosów”, których jest coraz mniej, którzy niekiedy ryzykują bardzo dużo, byle wypełnić służbę dla Pana. Wybiera ich Bóg, ale zawsze przez Maryję. I to oni, jak mówiła Matka Boża do ks. Gobbiego, stają się Jej armią. Trudno jest oczywiście mówić o sobie, że jest się częścią tej armii, ale mam czasem takie wrażenie, szczególnie gdy dochodzi do jakiejś kolejnej potyczki, gdy trzeba stanąć znowu wobec jakiegoś wyzwania, wyjechać na jakąś, by posłużyć się terminologią militarną, akcją komandosów Pana Boga. W normalnym czasie często czuję się osamotniony, nie widzę oazy, czasem trudno wyruszyć mi w dalszą podróż. Kiedy zaczyna się walka, czuję przy sobie niewidzialną armię. To jest potężne wewnętrzne poczucie.

O czym Ksiądz mówi?

Zawsze byłem raczej nieśmiały i niepewny, nie lubiłem publicznych występów, bycia na scenie. To było dla mnie bardzo trudne, szczególnie kiedy miałem mówić o rzeczach niepopularnych. A teraz, gdy wiem, że moje słowa mogą wywołać konflikt, konfrontację z jakąś osobą lub zjawiskiem, gdy muszę stanąć przed wielką grupą ludzi, to czuję, jak coś się zmienia. Strach mija, Duch Święty mnie ogarnia, osłania i zaczyna prowadzić, a ja wiem, że za sobą mam armię ludzi modlących się. Niekiedy daje to tylko odwagę do mówienia rzeczy niepopularnych albo trudnych, ale niekiedy sprawia, że mówię zupełnie coś innego, niż zaplanowałem i przygotowałem. Po półgodzinie lub godzinie mówienia „budzę się” i uświadamiam sobie, że zupełnie zmieniłem temat, że nie wykorzystałem niczego, co wcześniej przygotowałem. Takie doświadczenia są dla mnie potwierdzeniem tego, że nie mówię od siebie, tylko Ktoś mnie prowadzi. Ja przecież nie jestem ani intelektualistą, ani uczonym, ani teologiem, który studiuje pisma, ale w danym momencie wiem, co mam powiedzieć. Ludzie potem mówią do mnie: „Ksiądz mówił z jakąś wielką mocą”. A ja przecież sam z siebie nie mam żadnej mocy. Jeśli ktoś dotyka ich serc, to nie ja, tylko Duch Święty.

A potem?

A potem znowu przychodzi samotność. Szatan zaczyna atakować, przekonuje: „Zobaczysz, teraz cię zniszczę, teraz to już były twoje ostatnie konferencje, teraz już nie masz szans”. W tym czasie pojawiają się pokusy, oskarżenia, poczucie bezsensu, bezsilności i osamotnienia. I znowu człowiek idzie przez tę pustynię, przez odludzia – i tak aż do momentu, kiedy Pan Bóg znowu chce go użyć w jakimś swoim celu. Sam nigdy się nie narzucam, nigdy sobie nic nie wynajduję, tylko czekam na jasny znak, że Bóg chce, żebym gdzieś był. Bardzo często odmawiam, ale często też Pan Bóg daje mi rozeznanie, że gdzieś powinienem być, że On tego chce. Tak było, gdy jechałem do Szczecina na Maryjne Forum Charyzmatyczne. Miałem przekonanie, że trzeba powiedzieć, i to właśnie wtedy, że Maryja jest pierwszą charyzmatyczką Kościoła. Nie mamy prawa Jej omijać i wykluczać w posługiwaniu charyzmatycznym. Na tym polega rola komandosa Pana Boga. Idzie się na akcję nie dla popularności, nie dla pieniędzy, nie dla spektaklu, ale po to, by zrealizować wolę Pana Boga. To jest trudne, bo czasem wiele kładzie się na szalę. Ludzie są tylko ludźmi i mogą niszczyć. Człowiek nie wie, czy nie będzie to jego ostatnia „akcja”, ostatni wyjazd, czy nie pojawi się jakiś zakaz, ktoś nie postawi kolejnego „muru berlińskiego”. Do tej pory jednak Pan Bóg daje niesamowite owoce, i ja to widzę. Kiedy czuję się samotny, kiedy szatan atakuje, mówię: „Panie Jezu, wystarczy, dość, ja już tego nie mogę znieść, jest ciężko”. I wtedy Bóg przysyła ludzi, którzy mnie podnoszą na duchu, dają świadectwo.

Na przykład?

Ktoś do mnie podchodzi i mówi: „Dziękuję, ksiądz zmienił moje życie, nawróciłem się”. Innym razem ktoś mówi o uzdrowieniu żony, spowiedzi z całego życia, powrocie do Boga. To są piękne chwile i nadzwyczajna łaska. Bardzo często ja tego nie widzę. Chwilami jestem nawet zły na siebie i na Pana Boga. Mówię sobie wtedy: chcę mieć tylko zwykłą parafię, ludzi, obowiązki duszpasterskie, robić to, co przeciętny kapłan robi gdzieś tam na parafii mniejszej czy większej. Nie chcę już nic więcej. I w tym momencie przychodzą następne polecenia, o których wiem, że nie mogę odmówić. I wracam do akcji.

A na parafii nie trzeba być wojownikiem?

Dzisiaj każdy ksiądz powinien, a nawet musi być wojownikiem. Nawet na zwykłej parafii trzeba być znakiem sprzeciwu. Jeśli ksiądz nim nie jest, to kto ma nim być? Kto ma walczyć o dusze, o ludzi, o prawdę Ewangelii? Dzisiaj potrzeba wydierać dusze szatanowi z rąk. Walczyć o nie. Jeśli ksiądz przestaje być wojownikiem, jeśli zajmuje się wyłącznie sprawowaniem sakramentów, to staje się w istocie tylko urzędnikiem, kimś, kogo interesuje tylko to, by przeżyć do pierwszego i by w miarę wygodnie funkcjonować, ułożyć się ze wszystkimi, być lubianym i cenionym przez biskupa czy przełożonego. A to przecież za mało. Taka pokusa świętego spokoju, niestety, staje przed każdym księdzem. Także przede mną. W efekcie mamy coraz mniej wojowników. W Kościele zaczął

paraliżować nas strach.

Strach o co?

O swoje życie, o wygodę, o święty spokój, a przede wszystkim o opinie na swój temat wśród wiernych i własnych przełożonych. Rozumiem, że świecki mężczyzna może się bać o rodzinę, o to, za co ją utrzyma, ale czego może się bać ksiądz? Z głodu nie umrze, zawsze będzie miał gdzie mieszkać i co robić. Jeśli się więc czegoś boimy, to tego, że jak zaczniemy mówić prawdę, to stracimy popularność, ludzie przestaną nas lubić i nie będzie sukcesu, a jak nie będzie sukcesu, to i w wielu przypadkach awansu.

Lękamy się braku sukcesu?

Tak. Kiedyś mój kolega ksiądz zaczął mówić ludziom prawdę, bolesną prawdę. Z pięciuset parafian nagle do kościoła zaczęło przychodzić dwudziestu. Naskoczyli na niego przełożeni, w oczach innych kapłanów był przegrany. Po ludzku nie odniósł sukcesu, nie miał pełnego kościoła, ludzie nie przychodzili, nie garnęła się do niego młodzież. W takim momencie pojawiają się pytania, czy nie zrezygnować, czy mówić delikatniej, czy nie pójść w kierunku półprawd, kompromisu. Szczególnie gdy inni kapłani, w tym przełożeni, zaczynają mówić, że jest się złym księdzem, że rozbija się parafię, że przez nas ludzie nie chodzą do kościoła. W takiej sytuacji tamten ksiądz poszedł do kaplicy i zaczął płakać przed Panem Jezusem. „Po co mi to wszystko było?” – pytał. Jezus mu wtedy odpowiedział: „Nie bój się, ja chcę, żebyś był autentyczny, żebyś nie szedł za wszystkimi, za peletonem. Musisz stać się samotnym jeźdźcem, musisz stać się Moim wojownikiem”. „Ale oni mnie zniszczą” – odpowiedział ksiądz. „Nie bój się, oni cię nie zniszczą” – zapewnił go Jezus. Dopiero po tym doświadczeniu, po miesiącach z dwudziestoma wiernymi, którzy zostali z wielkiej niegdyś parafii, coś zaczęło się zmieniać. Zaczęli przychodzić nowi wierni, którzy powiedzieli: „Chcemy być z tobą, bo nie boisz się mówić prawdy”. Po roku, może dłużej, to była największa parafia w okolicy. Starzy wierni odeszli, ale pojawili się nowi, a parafia stała się mocna Duchem. Wcześniej jednak jej proboszcz musiał przejść przez ogień strachu, poczucia, że jest beznadziejnym księdzem, że rozwalił parafię, że jest przegrany. To było jego prawdziwe oczyszczenie. Wielu w tym momencie załamuje się, ucieka w uzależnienia albo ustępuje. On nie. Rzucił się na kolana przed Jezusem i powiedział tylko: „Robiłem wszystko, co chciałeś, co się stało – nie wiem”. A Jezus powiedział mu: „Nie lękaj się, ja wyszlifowałem cię jak diament”. I odszedł. Wtedy parafia zaczęła się zmieniać.

Można powiedzieć, że miał cierpliwych przełożonych...

To jest istota problemu. Ilu z nas będzie miało tak mądrych przełożonych, że nas nie zmienią, nie wyrzucą, nie przeniosą? Raczej powiedzieliby: „Rozłożyłeś parafię, rozbiłeś wszystko, nie nadajesz się”. W tym przypadku jednak się udało, bo ludzie szukają dzisiaj autentycznych głosicieli Słowa. Czasem to trwa, ale jeśli się poczeka, to się uda. Jest jednak lęk, że biskup czy przełożony zakonny tego nie dostrzeże, a ludzie ocenią i uznają

cię za nieudacznika czy wręcz świra. Znam wielu księży, którzy mówią: „Jak zacznę to robić, to mnie biskup od razu uziemi, to mnie od razu przełożeni przeniosą, to od razu mnie oskarżą o wszystko. Ja nie mam szans z tą całą machiną”. Jeśli więc ksiądz nie ma wiary, to nie ma mocy, dzięki której może się temu przeciwstawić. Jeśli jest tylko urzędnikiem Kościoła, jeśli nie prowadzi życia modlitwy, to sobie nie poradzi. A jakby tego było mało, to dzisiaj w Kościele niemal nie mówi się o walce duchowej mistyków, o nocy ciemnej, o doświadczeniach, o próbach, o tym, że szatan będzie ich kusił. Zamiast tego mamy kolejne wytyczne, drogi, hasła, plany duszpasterskie i pragnienie odniesienia sukcesu. Dzisiaj mało kto wchodzi na drogę mistyków, ale mamy stadiony, hale, wielkie masowe widowiska i uzdrowienia. Wszędzie musi być sukces, piękna muzyka, duchowy *fast food*, a tylko nieliczni chcą iść wąską drogą, często bolesną i trudną, o której Jezus tak pięknie mówi w Ewangelii.

Dziś, gdy kończy się seminarium, od razu trzeba odnieść sukces. Zostać superwikarym, a potem stopniowo budować karierę, zostać proboszczem albo pójść do kurii lub do innych kościelnych instytucji. Nie ma nic gorszego dla kapłana niż chęć pójścia drogą kariery lub budowania za wszelką cenę swojego pustego wizerunku. Trzeba wybierać: albo droga awansu, kariery i związanej z nią często pychy, albo droga Krzyża, droga Prawdy. Wytrwanie na drodze Krzyża jest potężnym wyzwaniem we współczesnym świecie. Wielu tego nie potrafi.

Dlaczego?

Bo to często wiąże się z odrzuceniem, i to nawet nie tyle przez wiernych, ile przez współbraci w kapłaństwie, przez przełożonych. To jest najtrudniejsze, gdy ci, którzy powinni cię wspierać, odrzucają cię, odwracają się od ciebie plecami, traktują jak kogoś, kto stracił zmysły. To jest dramat wielu kapłanów. Wielu takich spotkałem w mojej postudze. Trzeba mocnej wiary, świadomości własnej misji w kapłaństwie, jakby powołania w powołaniu, by się nie załamać, nie zrezygnować. Samotny wilk wiary ma świadomość, że ostatecznie nie ma znaczenia, co o nim myślą ludzie, co myśli biskup czy przełożony zakonny. Najważniejsze jest, co myśli o nim Bóg. Ja, tak jak każdy kapłan, pracuję dla Boga. Nie dla biskupa, nie tylko dla ludzi ani dla rady parafialnej, ani tym bardziej dla osobistego sukcesu, popularności, ale dla Pana Boga. I to On decyduje, często przez posłuszeństwo głosowi przełożonego, czy będę w tej czy innej parafii, czy będę robił to, czy coś innego. I to Bóg ma być z mojej pracy zadowolony. Z pracy, która przyniesie Jemu samemu uwielbienie i chwałę. Gdy kapłan nie ma wewnętrznej świadomości, że to on sam ma być Bożym wojownikiem, wówczas zaczyna się piekło na ziemi. Samotność atakuje pierwsza, potem alkohol, złamanie celibatu, obawa przed osądzeniem przez swoich. Nie mówię tego, by oceniać czy osądzać kogokolwiek, ale po to, by powiedzieć, że jest z tego wyjście.

Kiedyś pracowałem z kapłanem, to był już starszy ksiądz, który mi opowiedział swoje dość burzliwe dzieje. Długo go słuchałem, a na koniec on mi powiedział: „Jesteś pierwszym księdzem, który mnie nie oceniał, nie rzucił we mnie kamieniem, tylko podał rękę”. I zaczął płakać. Widziałem, że całe jego życie to była jedna wielka walka,

negatywna walka, z samotnością, osobistą słabością, z brakiem ukierunkowania w swoim życiu. Stracił on smak kapłaństwa, jak ta ewangeliczna sól. Chociaż miał misję Kościoła, miał parafię, miał kapłaństwo, nie miał tej prawdziwej misji, która nadaje sens i cel pomniejszym misjom. Ktoś ładnie kiedyś powiedział, że w prawdziwym kapłaństwie najważniejsze jest to, żeby w misji ogólnej Kościoła zobaczyć to, co naprawdę Pan Bóg chce zrobić z moim życiem. Dopiero gdy się ową misję odkryje, zaczyna się znajdować Żywego Boga w swoim życiu, czuć Jego oddech i naprawdę nawracać.

A kiedy Ksiądz odkrył swoją misję?

Po wielu latach kapłaństwa i życia w przeciętności. Wielu ma do mnie pretensje, że otwarcie mówię o tym, iż nawróciłem się naprawdę dopiero trzynastu lat temu, już jako kapłan. Oni mówią, że to wywołuje wśród ludzi zgorszenie. Ale taka jest prawda. Dopiero wtedy zrozumiałem, czym jest życie kapłańskie, do czego tak naprawdę mnie Pan Bóg powołuje.

Co się wtedy stało?

Byłem wtedy zwyczajnym księdzem i proboszczem. Zbyt mało się niczym nie przejmowałem, chciałem tylko pracować, by mieć za co żyć i by biskup i wierni byli zadowoleni. Powoli zacząłem sobie uświadamiać, że to wszystko nie ma sensu. Pan Bóg wtedy postawił na mojej drodze małego, bardzo chorego chłopca. Przez siedem lat cierpiał na coś, co wyglądało jak padaczka. Miał straszliwe ataki, tracił świadomość na wiele godzin. Rósł, robił się coraz starszy, silniejszy, a jego rodzice już sobie nie radzili. Kiedyś wezwano mnie do szpitala, bym udzielił mu sakramentu namaszczenia chorych. Zapytałem, dlaczego, bo proszę mi wierzyć, namaszczenie takiego dziecka to nic przyjemnego. Odpowiedzieli mi, że on już jest tak niebezpieczny, że nie ma dla niego żadnego ratunku, że trzeba go przenieść do innego szpitala, w którym zamkną go jak w klatce, na stałe. Pojechałem więc, zawiozłem mu trochę polskich cukierków i pomarańczy, a potem udzieliłem sakramentu chorych. Gdy wyjechałem, on dostał takiego ataku, że niemal zdemolował oddział w szpitalu. Ten chłopak nie chodził do kościoła, do szkoły, znał jedynie dom i szpital oraz wszystkie załogi karetek. Nie miał przyjaciół.

Krótko potem organizowałem pielgrzymkę do Medjugorje, po raz pierwszy dla wiernych z tamtych terenów. Nie wiem dlaczego, kiedyś po niedzielnej Mszy Świętej zamiast pojechać do siebie na plebanie skręciłem w innym kierunku, w ogóle o tym nie myśląc. Gdy się zorientowałem, co się dzieje, byłem już niedaleko domu rodziców tego chłopca, więc pomyślałem, że zobaczę, co się z nim dzieje. Pojechałem więc do tego domu. On akurat tam był. Pamiętam to jak dziś, siedział na sofie, taki blady, mały, jego wielkie czarne oczy były wpatrzone we mnie ze zdziwieniem. Brał po trzydzieści tabletek dziennie, końskie dawki środków na te swoje ataki. Wtedy powiedziałem mu, sam nawet nie wiem dlaczego: „Słuchaj, ja pojedę do Medjugorje i będę się modlił za ciebie, za twoje

zdrowie. Ty się tutaj módl, tak jak możesz, a ja będę się modlił tam. I stworzymy takie duchowe połączenie, jakby duchowy pomost”. Tak też się stało. Pojechałem do Medjugorje, po raz pierwszy tam naprawdę pościłem do bólu, odprawiłem trzy Msze Święte w jego intencji oraz drogę krzyżową na górze Križevac. Był straszny upał, na tych skałach temperatura dochodziła pewnie do sześćdziesięciu stopni. Ja nie znoszę upałów, więc było to dla mnie naprawdę bardzo trudne doświadczenie. Cały czas modliłem się za tego chłopaka, prosiłem Boga: „Zrób coś”. 21 maja 2004 roku o godzinie dziesiątej wieczorem było widzenie przy niebieskim krzyżu na Górze Objawień. Poszliśmy tam o szóstej, żeby zająć dobre miejsce. Byłem niedaleko widzącego Iwana i miałem małe szkolne zdjęcie tamtego chłopaka. Kiedy nadeszła godzina dziesiąta i przyszła Matka Boża, zrobiło się cicho, ciemno, i wtedy ja wyciągnąłem zdjęcie i powiedziałem: „Matko Boża, ja wszystko zrobiłem jako ksiądz, jako człowiek. Weź to w swoje ręce i coś zrób. Jeżeli to jesteś Ty. Ja cię nie widzę, nie wiem, wierzę, ale jeżeli tu naprawdę jesteś teraz, to popatrz na to zdjęcie”.

Wcześniej napisałem do jego mamy SMS-a, żeby o tej godzinie, jeśli to będzie możliwe, jeśli on nie będzie miał ataku, modlili się u siebie w domu. I tak się stało. Siedział wtedy sam w ogródku, modlił się i zapalił na stoliku dziesięć świec. O dziewiątej zaczął odmawiać Różaniec. Chłopak u siebie w domu, ja w Medjugorje. Gdy wypowiadałem tamte słowa w miejscu objawień, w ich domu zaczęły – po kolei, nie za jednym razem – gasnąć te świece. Nie był to wiatr. Kiedy zgasła ostatnia, chłopak został całkowicie uzdrowiony. Już nigdy nie miał ataków. Gdy wróciłem do hotelu, dostałem kilkanaście SMS-ów od jego rodziców z informacją, że wydarzyło się coś nadzwyczajnego.